



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Oblicze śmierci / Alojzy Bonczek.

Liczba stron oryginału

44

Liczba plików skanów

44

Liczba plików publikacji

45

Sygatura/numer zespołu

KD I 01788

Data wydania oryginału

1931

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



**Fundusze
Europejskie**
Program Regionalny



Śląskie.

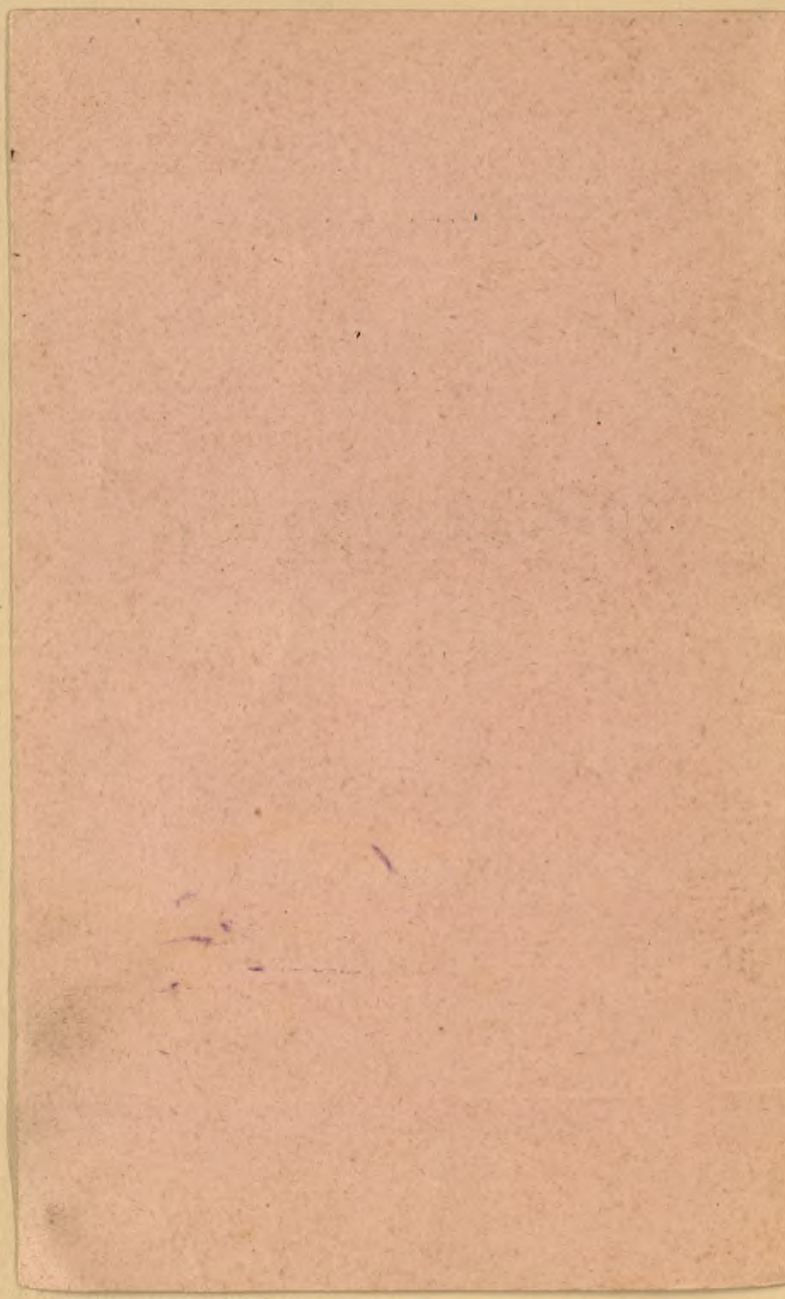
Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



Hider Fr
Pol. Lenina

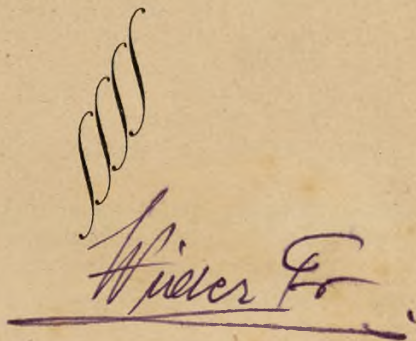
Alojzy Bonczek, Stonawa.

Oblicze śmierci.



Alojzy Bonczek, Stonawa.

Oblicze śmierci.

A handwritten signature in purple ink, consisting of a stylized, calligraphic 'H' followed by 'ieronim', underlined.

1931.

Nakładem własnym.

Drukarnia Ludowa we Fryszacie —367—31.

ZBIORY
S. ZAHRADNIKA



KD 1788

KD 1788

K 253/01
3,00

Fragmenty katastrofy górniczej.

Uwaga: Aby powieści nadać oryginalności w treści, pozostawiono wyrazy i nazwy, używane w mowie między górnikami.

Podróżnik, przybywający zwiedzić miasteczko Karwinę, położone na szlaku kolei koszykobogumińskiej w powiecie frysztackim, zobaczyć może wiele ciekawych rzeczy i zachwycającej panoramy. Dosyć obszerny dworzec kolejowy jakby tonał w otaczających jeziorach, przeplatanych fałdowanymi brzegami lub zasypanych po części odpadkami kopalnianymi. Na widnokręgu — szczególnie od strony północnej miasta — widać zdala w obrazie potężnych wysokich kominów i żelaznej konstrukcji wieży szybowych cztery główne szyby: Jan-Karol, Franciszka, Henryk i Głęboki, oto imiona szybów, które przeszło 100 lat wyrzucają przez otwory swych gardzieli z drugiego, dla wszystkich niedostępnego i nieznanego świata, miliony złotych w postaci węgla kamiennego. Przed 50 laty tam, gdzie dziś widać jeziora i zapadliska, zieleniły się zboża i trawy.

Wspaniałe i wielkim nakładem zbudowane szyby stały się niewyczerpanymi gardzielami do wyrzucania węgla, bogactwa dla właściciela, lecz zarazem codziennych ofiar rannych lub zabitych górników. Do pojedynczych ofiar już się tak przyzwyczajono, że oprócz formalności

komisyjnych, po odprawieniu pogrzebu z paradą i zasypaniu ziemią na cmentarzu karwińskim, nikt się więcej nie interesuje zabitym górnikiem. Były jednak w dziejach istnienia wspomnianych szybów momenty tak straszne i nadzwyczajne, że spowodowały wstrząśnienie nerwów nawet u codziennych widzów ofiar pracy. Masowe katastrofy dopełniały liczbę ofiar tych szybów. W okresie dziesięciolecia wydarzyły się na wspomnianych szybach dwie katastrofy, w których za jednym zamachem przeszło 400 górników utraciło życie. Pewna część z nich nawet nie została odszukana, aby znaleźć spoczynek na cmentarzu karwińskim.

Szyb Jana, zbudowany na końcu wschodniego pola górniczego, własność magnata śląskiego Larischa, pod względem wyposażenia technicznego należał początkowo do prymitywnie wybudowanych szybów z drzewa, na kształt wielkiej czworobocznej studni, rozdzielonej na poły. Jedna połowa, zwana po górniczymu „fonderschacht“, służyła do przesuwania klatki szybowej, jednej w dół, drugiej znów w górę. W drugiej połowie, zwanej „fahrerschacht“, umieszczone były drabiny, służące górnikom dla schodzenia do kopalni. Obok drabin zawieszono były z wierzchu aż na dół rury żelazne od wodociągu maszynowego, osuszającego kopalnię z napływu wody podziemnej. Obok najbliższy położony i podziemią stale połączony z szybem Jana, był szyb Karol, wybudowany w nowszym czasie, murowany, technicznie doskona-

szy. Łączność obu szybów była tego rodzaju, że górnicy nazywali je prosto Jan-Karol.

Wodę nagromadzoną w kopalni ciągnięto na powierzchnię mechanizmem, który będąc w ruchu, powodował w szybie różne syki, pischczenie i inne nadzwyczajne głosy a w człowieku, nie znającym przyczyn tego hałasu, budził różne przesady o istnieniu w kopalni czegoś nadprzyrodzonego w postaci Pusteckiego, tak bowiem nazywali byli górnicy „ducha“ podziemi. Od przesady o istnieniu Pusteckiego powstawały także w głowach górniczych mniemania, że przy pomocy Pusteckiego w łatwiejszy sposób można było nakopać węgla, albowiem słyszano go bić w węglu kilofem lub młotem. Pękanie drzewa oznaczało groźbę Pusteckiego załamania chodników lub filaru. Z czasem gdy szyb Jana został przerobiony, a budowę drzewną szybu zastąpiono cementowym betonem, wyrzucono z szybu wodociąg, ustały głosy Pusteckiego a górnicy powoli zapominali na dobrotliwą pomoc i jego gniewne pomruki.

Także otoczenie szybu na powierzchni zasługuje na uwagę. W potężnej wysokiej hali widnieje żelazem okratowany otwór. Za każdym podniesieniem się klatki z szybu w górę, automatycznie podnoszą się przednie bramki szybu, czyniąc wolny otwór wstępu do klatki. Dyżurny szybu wsuwa przez wolny otwór do klatki wózek, dając następnie znak dzwonkiem maszyniście, podnosząc zarazem stawidła, na których spoczęła klatka podczas stania na powierzchni. W okamgnieniu spuszcza się klatka do szybu, aby dokonać wymiany drugiej klatki,

przesuwającej się obok. W jednym kącie koło okna w hali szybowej stoi ogromny piec, zbudowany z części starego kotła parowego, siedlisko świerszczy, pluskiew oraz karakonów. Szczególnie w nocy, gdy fiedrowanie się przerwa a w hali nastąpi chwilowa cisza, rozpoczęła koncert orkiestra świerszczów za piecem hali. Dziewczyny i robotnicy wskutek przerwy w nocy próbują wypocząć, kładąc się na prymitywnie zrobionych ławach, ustawionych koło „bulera“ (tak zwano ten piec), lecz o zaśnięciu nie było nawet mowy, gdyż mieszkańcy szpar w ścianach spokoju nie dali. W przeciwległym kącie znajdują się drzwi, wchód do hali maszyn. Hala nadzwyczaj ogrzana, lecz niemniej zamieszkała przez nocnych awanturników, urządzających sobie w każdym kącie hali swój własny koncert. Drzwi wchodowe do hali szybowej są nadzwyczaj wielkie, złożone z dwóch części, gdzie w jednej połowie znajdują się małe drzwi, które w zimie czy w lecie mają zostać otwarte, umożliwiając łatwiejszy dostęp powietrza.

Pogłębianie szybu. — Odkrycie pokładu.

Przekrojem szybu Jan-Karol a także Franciszki zapoznano się dokładnie z położeniem pokładów węglowych małego pola górniczego. Były to jednakowoż pokłady grubości najwyższej 1'5 m. Inżynierowie i geologowie górniczy mieli jednak pewność, że w głębi, pod pokładami już odkrytymi, znajdują się pokłady o znacznej grubości i dla eksploatacji korzystniejsze. Zdecydowano się z końcem roku 1890

dokonać pogłębienia szybu Jana, który, posiadając wodociąg, nadawał się na cel doświadczalnych prób najbardziej. Sprowadzono fachowych górników i rozpoczęto pogłębianie od piątego poziomu. Za niespełna półtora roku pogłębiono 70 m szybu i przystąpiono do użytku produktywnego. W tej części pogłębianego szybu odkryto ten krwawy, przeszło czterometrowej grubości pokład, zwany 19-tym. Był to naprawdę radujący duszę skarb przyrody, rokujący nie tylko właścicielowi horendalne zyski, lecz i górnicy wróżyli sobie dobre zarobki, szczególnie gdy poznano jego składową krzewkość i położenie. Bez dalszych namysłów rzucono więc najzdolniejsze siły robocze w kierunku przysposobienia pokładu do produkcji.

Także w górniczym polu zachodniem na szybie Franciszki wskutek wybicia kilka setek metrów od szybu głównego przekopu, został całkowicie odkryty pokład grubości czterometrowej. Tym sposobem skonstatowano grubość pokładu i rozmiar jego rozłożenia, tak w kopcu, jako też najniższego do szybu położenia. Zabrano się w sposób najbardziej intensywny do przeprowadzenia różnych górniczych zarządzeń technicznych przed eksploatacją. Na szybie Jana zaraz od szybu wystrzelono „filart” zwany szóstym — poziom, 8 m wysoki i 5 m szeroki, stosownie do odbudowania szybowego. Nowy „filart” zabudowano również drzewem dębowem półtora metra wysoko, przedzielono etażą bonową, przygotowując tym sposobem możliwość wsuwania do klatki szybowej naraz po 2 wózki, jeden nad drugim..

Z chwilą odkrycia i poznania pokładu było największą troską jak najspiesniejsze wkroczenia do niego i wszczęcie złotonośnego wydobywania. Starano się wyszukać najpilniejszych i najręczniejszych robotników do pracy nad kopaniem i strzelaniem zaraz od szybu głównego przekopu. Czas pracy oraz długość zmiany na szybach Larischa obowiązywał jeszcze 12 godzin, a później zmieniono go na 10 godzin. Mianowicie ranna zmiana zaczynała się o 6 rano do 4 popołudniu, zaś nocna od 4 do 2 w nocy.

W pilnych pracach porządek był tego rodzaju, że praca prowadzona była bez przerwy. Na trzy zmiany po 8 godzin sześciu kopaczy rozpoczęło kopanie w nowym pokładzie czterometrowego chodnika w dolnej części odkrytego pokładu. Pokład przeszło czterometrowej wysokości, od szybu Jana począwszy, rozdzielony był na dosyć ważne dwie części: przedziałkę przeszło metrowej grubości stanowił czarny łupek, przeplatany żyłkami węgla. Aby osiągnąć główny przekop, przynajmniej trzy metry wysoki, ustanowiono inną partję kopaczy, którzy śladem węgla, wykopanego „vorsilen“, zapomocą strzelania dorabiali wierzch chodnika do potrzebnej wysokości i zarazem budowali drzewem „pary“ w oddaleniu metra od siebie.

Było nas czterech kopaczy i dwóch woźczy, wykonywujących nasze powołanie jak najskrupulatniej, wierząc ręcznymi świdrami, każdy dla siebie osobną dziurę, do której zaprawialiśmy sami nabój dynamitowy do strzału.

Potrzebny dynamit przed nastaniem szychty „fasował“ w składzie naboju przodownik z pomiędzy nas ustanowiony. Jak bardzo pośpiechem pracy i zdobyciem pokładu dla eksploatacji interesował się zarząd kopalni, dowodzi, że jeżeli przy pracy nie siedział stale opiekun w osobie wyższego urzędnika, to na wymianę odwiedzani byliśmy bez przerwy przez różne wyższe osobistości górnicze, dające nam do zrozumienia, że już powinny z pokładu płynąć dla właścicieli pożądane skarby. To też posuwanie się naprzód tego głównego chodnika było niezwykle prędkie, bo 40—60 m za cztery tygodnie.

Jeszcze korzystniej przedstawiała się praca przez wkroczenie do pokładu od strony zachodniej na szybie Franciszki. Tam z głównego przekopu, eksploatowanego z szybu Głębokiego, zaczęto już w samym pokładzie przebijać w węglu w kierunku wschodnim tak zwany „Grunstrek“, który dla fiedrowania i przewożenia wózków z węglem, połączony został z głównym przekopem wielkim wekslem, zbudowanym na przestrzeni jakich 8 m², wyłożony płaskimi „blotniami“ zamiast szynami. Taksamo praca nad odbudową dostępu do pokładu ze strony pola zachodniego wykonywana była z największym pośpiechem i niecierpliwością przez zarząd szybu Franciszki.

Już sam wygląd pokładu zaraz po jego odkryciu stał się przedmiotem specjalnych uwag górniczych odnośnie bezpieczeństwa przy eksploatacji. Czterometrowa grubość węgla, położonego nierównolegle, działek czystego węgla z

mieszanianą kamienia, zwanego „mitlem“ łupkowym, spowodowało gromadzenie się odpadków, zawierających część węgla z mieszaniną niedojrzałych kruszców siarczano-węglowych, które rzucano za siebie, wytwarzając w każdej sztolni hałdy nieużytków. Sam węgiel był bardzo krzewki, przepojony nadzwyczajną ilością tlenu. Skutkiem naturalnej krzewkości węgla, kruszenie skały węglowej było łatwiejsze, jednakowoż odpadki przy kopaniu kilofem przemieniały się w prochową kurzawę, która osiadała na ścianach i zabudowaniach sztolni. Kalorje węgla samego złożone były z nadzwyczaj zapalnych składników. Wszystkie przytoczone właściwości węgla tego nowego pokładu obudzić musiały u każdego fachowca — a do takich zaliczyć należy każdego starszego górnika — pewne zastanowienie i trwogę o bezpieczeństwo życia przy wydobywaniu. Także kierownictwo kopalni przewidywało następstwa, które zdarzyć się mogą, jeżeli praca w tym pokładzie prowadzona będzie lekkomyślnie, bez należytego przewietrzania i przy zaniedbaniu przepisów górniczo-policyjnych.

Tu wspomnieć muszę, że w owym czasie górnicy w kopalni świecili jeszcze lampkami, napełnionymi oliwą, której po zgaszeniu nie było można w kopalni ponownie zaświecić. Na szybach Larischa powietrze od szybów wentylacyjnych zawierało 2—3% gazów zapalnych. Nierzadkie były wypadki, że badanie gazów zapomocą światła lampki olejowej wykazało zupełną czystość w czole pracy a po odejściu strzału cały przód i złomy węgla stanęły w

plomieniu niebieskim. Od strzałów zapaliły się gazy a zarazem zwały odstrzelonego węgla. Powodem tak łatwego zapalenia się był proszkowaty węgiel, zawierający siarczan węglowy. Jako środek zapobiegawczy przeciwko łatwozapalności zarządzono skrapianie wodą wszystkiego, co znajdowało się w odległości 20 m wokoło strzału. W tym celu do każdego „przodku“ prowadziły najmniej 5 cm grube rurki żelazne z dopływem wody z powierzchni.

W miarę postępu czasu, postępowała także praca nad zupełnem odkryciem i poćwiartkowaniem pokładu węglowego. Przebijano wprzód główne sztolnie fiedrunkowe i wiatrowe, następnie szeroką pochylnię („Bremsberg“) kilkadziesiąt metrów długą, dla połączenia ich z polem zachodniem od strony szybu Franciszki. W celu regularnego prowadzenia kierunku wiatrowania na przechodzie łącznikowym kazano wybudować tamę murowaną, zaopatrzoną na środku w podwójne ciężkie drzwi drewniane, zamknięte na klucz. Drzwi przedstawiały symbol sprawności pomiarów geometrycznych pokładu i służyły dla urzędników jako przejście podziemne z jednej kopalni na drugą. Górnikom jednakowoż przejście to służyło na wypadek katastrofy.

Zarząd kopalni zaraz od chwili odkrycia pokładu powiększył siły robocze przez dosadzanie załogi w pokładzie 19-tym, składającej się z młodych, zdrowych i śmiałych górników i sił pomocniczych: taczowników i wozaczy. Opodal

szybu wybudowano dosyć obszerną stajnię na pomieszczenie 10 koni.

Po upływie nadzwyczaj krótkiego okresu czasu pokład 19-ty, przeorany niezliczonymi krzyżującymi się na wszystkie strony 3—4 m szerokimi sztolniami, przygotowany był do tak zw. rabunkowej eksploatacji. Około 200 kopaczy, rozlokowanych w poszczególnych sztolniach, łamało w nadludzki sposób ten złotodajny kruszec, który siły pomocnicze, ładując w taczki i wózki, wydobywały masowo na powierzchnię. Na przestrzeni kilkanaście setek metrów długiego przekopu, na podwójnej parze kolei mijały się pociągi konne z pełnym ładunkiem pod szyb, zaś próżne pod pochylnię fiendunkową. Z chwilą rozpoczęcia szychty w całym pokładzie mocno wrzała praca; pyłek węglowy, unosząc się od każdego kopnięcia kilofem, lub rzucenia łopaty węgla do taczek, zasypał wszystko w swoim otoczeniu, opadając jak zawieja śnieżna, wypełniał wszystkie wolne miejsca, powodując hałdy kurzawy. Bardzo ciekawy obraz przedstawiali nasi górnicy, zajęci pracą w powietrzu, przesyconem pyłem węglowym; wyglądali jak nieme widma w łoskotliwym ciemnym zaułku, dostrzegalni tylko zapomocą ledwo żarzącego się punktu światła lampki, aby się uchronić od zbytecznego łykania pyłu węglowego. W pracy panowało grobowe milczenie, przerywane od czasu do czasu silnem spluwnięciem górnika, wyrzucającym w ten sposób z ust sok tabaki, włożonej sobie za ząb na śliwkę dla podniesienia animuszu.

Ówczesny dyrektor górniczy hr. Larischa rodem Francuz, pan Grey, zarządził pracę na trzy zmiany, zaś w każdą niedzielę całe masy górników zmuszano do pracy uzupełniającej w tym pokładzie. Nie upłynęło ani całe dwa lata tej szalonej pracy, a pokład przewiercono do tego stopnia, że rzadko znalaziono filar grubości 20 m. Rozpoczęto od strony tak zw. sprągu rabowanie filarów, tak ze strony szybu Jana, jak i Franciszki. Ogromna grubość pokładu, gęsto przewierconego, powodowała nadnaturalne miażdżenie węgla w filarach, co przyczyniało się do łatwiejszego rabowania. Dwaj kopacze we filarze zdołali na jednej zmianie nakopać 50—60 wózków o pojemności 12 q. Za wózek płacono początkowo 16 ct., a później, gdy panowie widzieli, że kopacz zarabiał w porównaniu do innych pokładów cośkolwiek więcej, zredukowano kontrakt na 12 ct. za jeden wózek. Pan radca górniczy Grey, który był zapalonym myśliwym i rybołowcą, zadawała się tem, gdy urzędnicy podczas raportu głosili: „Fiedrunk w 19 pokładzie podniósł się o 50 wózków.“ — „Brawo, moi panowie!“ — z uśmiechem zareagował p. Grey. Tak kończył się raport. Szalejący za zyskiem przedsiębiorcy i inżynierowie nie chcieli ani zastanowić się nad tem, co nastać może w otwartym pokładzie, rozciągającym się na 6 km², w polu napełnionem po wyrabowaniu węgla gazami palnemi a w niektórych miejscach pół metra grubości pyłem siarkowo-węglowym. Nikomu z tych panów ani się śniło, by wyrabowane pole kazać zawozić odpadkami węgla

i замуrować, lub leżący pył węglowy należycie skropić wodą. Po wyrabowaniu filara nakazywano kopaczom, aby w interesie oszczędzania drzewa na podbijanie stropu, rabowano jeszcze niepołamane drzewo, tak zwane orgle, chcąc przyśpieszyć załamanie się stropu i przynajmniej dla upozorowania łatwym sposobem spowodować zawalenie wyrabowanego pola. Każdy górnik zrozumiał, że tego rodzaju wypełnianie próżnych miejsc powoduje jeszcze większe niebezpieczeństwo, gdyż czterometrowej grubości wybrane pole w przyrodzony sposób u dołu zawala się i wypełnia wybrane miejsca, jednakowoż u góry zostawia próżnię, którą z natury rzeczy wypełniają gazy, jako lżejsze od powietrza. Kilka sporadycznie zdarzających się wypadków zapalenia gazów w odosobnionych czołach starano się możliwie ukryć przed ogółem górników, zaś zarząd kopalni wcale na takie drobnostki nie zwracał uwagi.

Krytyczny dzień.

Pamiętny to dzień 14 czerwca 1894. Po gorącym południu, górnicy, podnieceni przez wezwanie przy zapisie do podniesienia fiedrunku, szczególnie z 19 pokładu, cisnęli się do szybu, aby jak najprędzej zjechać do kopalni i ochłodzić się w głębokościach z prażącego letniego żaru. Załoga w 19-tym pokładzie w tym dniu składała się z przeszło 200 młodych i najlepszych górników. Animusz do pracy i zarabkowania nie pozwalały na zmarnowanie chwili, aby zdobyć się na rekordowy dziś fiedrunek. Jesz-

cze nie ukończono zupełnie wjazdu wszystkich górników do kopalni, a już pociąg wózków z 19-tego pokładu dobijał pod szyb, aby jak najprędzej został wydobyty na wierzch. Dozorca Szerzyna, zjechawszy na dół, odzywa się do narażaczy pod szybem: „Dziś musicie o 50 wózków więcej wyfiedrować!”

Wezwaniu dozorca starano się uczynić za-dość to też narażacze, rozebrawszy się prawie do koszuli, na wyścigi jęli się szybowania wózków pod szyb dwuetażowej klatki, która w okresie trzypięciominutowego czasu naprzemian z dwoma wózkami dokonać miała rekordowego fiedrunku. Upływała godzina za godziną, jeden za drugim pociąg pełnych wózków, ciągniętych końmi, dobijał pod szyb Jana 6-tego poziomu; już prawie połowę rekordowego fiedrunku z 19-tego pokładu wyrzucono gardziela szybową na powierzchnię, aż tu naraz jakby uderzeniem pioruna, kres położono fiedrunku.

Koło pół do dziesiątej wieczór naraz dał się słyszeć ogromny huk, wstrząsający całą kopalnią, przerażając nas wszystkich swym łoskotem, połączonym ze zupełnem przerwaniem prądu powietrza. Pracujący po drugiej stronie na polu wschodniem, rzucili się pociemku (gdyż huk zgasił im lampki) do ucieczki, lecz każdy zrozumie, jak daleko można bez światła w kopalni uciekać... Omawiając rozmaite powody słyszanego strasznego huku, drapaliśmy się na główny chodnik, wiodący pod szyb. Napotykałyśmy dozorcę rewirowego Hyrboczka, który tak samo pyta się, co się stało, gdyż i jemu gwałtowna detonacja była zupełnie niezrozumiałą.

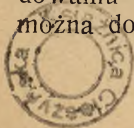
Mając na szczęście światło, gdyż dozorczy byli już zaopatrzeni w lampki benzynowe, podążyliśmy ku głównym drzwiom, oddalonym o jakie 20 m. Zbliżywszy się do drzwi, dał się już czuć ogromnie nieznosny swęd dymu, jakoś rzadko górnikowi znajomy. Z wielką ostrożnością dozorca próbuje drzwi otworzyć; przy otwarciu owiał nas czarny kłęb dymu, zatykając nam usta i tamując oddech. Dopiero zrozumieliśmy, że jest to widoczna oznaka katastrofy, narazie nie dająca się osądzić, gdzie i w jakich rozmiarach powstała. Ogromnie przerażeni, zostaliśmy chwilę zamyśleni, co teraz czynić, gdyż ucieczka pod szyb została nam tym sposobem odcięta. Wspomnieliśmy sobie, że z szóstego do piątego poziomu prowadzi stara, częściowo już załamana pochylnia, możliwa w tem straszliwym położeniu jedyna droga ucieczki. Chcąc się dostać pod tę, w tej chwili szczęśliwą pochylnię, musieliśmy wrócić od szybu jakie 500 m, któreśmy przebiegli prędzej, aniżeli może ptak byłby w stanie je przelecieć. Stanąwszy nad pochylnią, której długość wynosiła przeszło 800 m, a w której drzewo zabudowań było zbutwiałe i połamane, wszędzie pełno kamieni, zmuszeni czołgać się na czworakach, z trudem wielkim dostaliśmy się do piątego poziomu. Pomimo tych przeszkód, jak i położenia pochylni, zmuszeni uciekać w górę, doszliśmy pod szyb Karola. Do szybu Jana trudno było się dostać, gdyż nie tylko dym, wydobywający się z głębi szóstego poziomu, tamował drogę, lecz wyrzucony pełny wózek z węglem do szybu siłą eksplozji a rozpierający się pomiędzy zabudowaniem

szybowem, uniemożliwiał opuszczanie klatki na miejsce postoju i pośpieszne wydobywanie na wierzch ratujących się górników. Ponieważ w tym poziomie dozorca mieli już bliższe wyjaśnienie, że nic innego stać się nie mogło, jak tylko wybuch gazów w szóstym poziomie, powstała panika nie do opisania. Każdy chciał być pierwszy w klatce i na powierzchni. Bez jakiegokolwiek uwzględniania przepisanej ilości pakowano ludzi do klatki ile tylko zmieścić zdołano. Za kilkadziesiąt minut byliśmy już na powierzchni, oddychając świeżem powietrzem.

Dalsza sytuacja.

Lotem błyskawicy, pomimo, że był to późny wieczór, detonacja ta wywołała nie tylko wszystkich urzędników z ich pomieszczeń, ale przychodzili także górnicy z kolonji Sowińca o ćwierć godziny drogi od kopalni oddalonej, jedni zobaczyć, co się stało, drudzy, aby ratować, co możliwe.

Ponieważ już jednak uznano za prawdopodobne, że wybuch nastąpił w szóstym poziomie, do którego dojazd bezpośredni tylko szybem Jana był możliwy, przeto koło szybu Jana zgromadzonych było setki osób, tak mężczyzn, jak i płaczących kobiet. W okamgnieniu nadszedł rozkaz udania się do kopalni w celu niesienia pomocy. Otrzymawszy świeżą lampkę, nie myśleliśmy o niczem innem, jak tylko o ratunku; pojechaliśmy szybem Jana napowrót do kopalni. Zjechawszy na dół, musieliśmy czołgać się kilka metrów wdół po zabudowaniu szybowem, gdyż klatką nie było już można dojechać na postój (stawidła), ponieważ



wyrzucony pełny wóz do szybu uniemożliwił dojazd klatki na dół.

Przyczolgawszy się na dół (dym powybuchowy w międzyczasie uniósł się już z powietrzem), spostrzegliśmy, że 4 posuwaczy szybowych brakuje. Jeden z nich półmartwy siedział już całkiem bez jakiegokolwiek znaku życia w objęciu dębowego stempla, do którego palce obu rąk były głęboko wtłoczone. Okurzony i osmalony dynem i sadzami, z szeroko otwartymi ustami, słabym oddechem okazywał jeszcze pozory życia. Zapytaliśmy się go, co się stało i gdzie ma kolegów. Po chwili odpowiedział, że nie wie, co się stało i nie wie, gdzie są jego koledzy. Tu spostrzegliśmy, że trzech jego towarzysze pracy zostali siłą wybuchu zmieceni 70 m wgląb szybu na siódmy poziom.

Znalezienie jednego jeszcze żywego górnika (któregośmy natychmiast wywieźli na wierzch) dodało odwagi innym górnikom i urzędnikom do energicznej akcji ratunkowej z przypuszczeniem, że jeszcze więcej żyjących zdołamy uratować.

Nie upłynęło jednak całej pół godziny a znajdowało się nas znów koło 50-ciu z dozorcami i urzędnikami w kopalni, w miejscu katastrofy, gdzie jedni mieli się udać z przyrzadaniami do cucenia zemdlących do czół, gdzie robotnicy pracowali w miejscach koło 500 do 600 metrów oddalonych od szybu; drudzy znów mieli się udać do 7-mego poziomu, wydobywać trupy brakujących z pod szybu 3 narażaczy. Każdy z nas z gotowością poniesienia największej ofiary rozmyślał nad tem, jakie szcze-

ście dla niego będzie, jeżeli zdoła chociaż jednego górnika żywego z pola katastrofy uratować. Każdy myślał o tylu ojcach rodzin, bratach, kolegach i dobrych znajomych, którzy w otchłani śmierci czekają ratunku.

Takim samym sposobem rzucono się na ratunek ze zachodniej strony na szybie Franciszki i Głębokim, gdyż te szyby były połączone z sobą przebitymi sztolniami a objęte zostały katastrofą. Na szybie Franciszki pod komendą szychtmistrza Kurca tem śmieiej udano się na ratunek w liczbie koło 40 osób, gdyż detonacja w tym oddziale nie była tak silna, jak na szybie Jana. Tak samo ze strony szybu Głębokiego rzucono się na ratunek, gdyż z tej strony pracowali w tym pokładzie górnicy.

Naraz, gdy rozpoczęli akcję ratunkową, dała się słyszeć ponowna detonacja i zupełna przerwa dopływu powietrza, który był o wiele silniejszym, jak zwyczajnie. Zostaliśmy przerażeni, co znów się stało, lecz ani na chwilę nie przypuszczaliśmy o możliwości drugiej eksplozji. Hart ducha, powodowany uczuciami do setek nieszczęśliwych braci górników, usuwał z przed oczy widmo jeszcze dalszego nieszczęścia. Dopiero po pewnym czasie, kiedy kilku nas wróciło na miejsce najbliższych z wiadomością, że spotkaliśmy tylko trupy, równocześnie od przybywających do nas z wierzchu sił pomocniczych — dowiedzieliśmy się, że nastąpił nowy wybuch, gwałtowniejszy od pierwszego, gwałtownością objął zachodnie pole szybu Franciszki. Myśmy na szybie Jana dziwnym trafem ocaleli, tylko w uszach zalegało nam do tego stopnia, że długi czas pozostali-

śmy głuchymi. Na szybie Franciszki wybuch drugi spowodował ogromne spustoszenia. Zaskoczył całą załogę ratunkową, wraz z urzędnikami, znajdującą się prawie na głównym Przekopie a śpieszącą na ratunek, rozszarpując wszystkich w kawałki.

To jednak nie potrafiło nas odstraszyć od dalszej pracy, jeżeliby już pomoc jakakolwiek była zbytęcną, przynajmniej co najprędey zając się wydobywaniem trupów na wierzch. Naszą odwagę wzmacniała jeszcze ta okoliczność, że pomimo iż już byliśmy świadkami dwóch krótko po sobie powtarzających się eksplozji, nie przedstawił sobie żaden, z jakiego powodu mogły powstać. Nawet urzędnicy z samym dyrektorem, straciwszy chwilo-wo głowy, nie przeczuwali nic innego, jak tylko zwykłą eksplozję gazów. Sam radca górniczy Grey zjechał do szybu, by na własne oczy widzieć spustoszenie, które przeważnie spowodowała lekkomyślna manipulacja i rabunkowa gospodarka na szybach Larischa. Po drugiej eksplozji, kiedy Grey poczuł huk i świst powietrza, zmiarkował, że coś złego się dzieje i prędko kazał się wywieść na wierzch, zostawiając nas bezradnych na pastwę losu.

W międzyczasie na rozkaz urzędnika wysłano dwóch kopaczy, Kubiczka i Luzara do 5-tego poziomu, polecając im zaszalowanie jednej sztolni koło „Gezenku“, gdzie uchodziło powietrze, omijając katastrofą objęty 19-ty pokład. Według rozkazu kopacze poszli, lecz już więcej nie powrócili, znaleźliśmy ich po 4 latach uduszonych z narzędziami w rękach przy pracy.

Zatrwożeni już temi wiadomościami, dzieląc się na grupki po 4—5, chwytałiśmy się pracy usuwania zwalisk z kolei, robiąc sobie wolny przejazd pod szyb. Począwszy od samego szybu, główny przekop przedstawiał straszliwy obraz: zawałony drzewem i kamieniami ze sterczącymi kawałkami wózków, poszarpanych koni i ludzkich ciał. Chodnik, prowadzący do 19-tego pokładu, przedstawiał się jak osmalony komin, wypełniony szczątkami drzewa, żelaza i pełny gryzącego dymu. Smutna to była praca, gdyśmy z wielkim trudem doszli do stopów zwęglonych zwłok, nie mogąc ich naraz zabrać z sobą, gdyż przed zawałami i grożącym jeszcze większem zawaleniem, praca była dla nas ogromnie niebezpieczna. Wszystko zabudowanie było już wybite w tym zasmolonym kanale, napelnionym swadem, tak, że trudno było rozpoznać trupa zabitych i zwęglonych górników. Trwoga przejęła każdego, gdyśmy przeczołgali się na czwórkach przez ogromny zawał jakie 500 metrów od szybu pod główną pochylnię, po której spuszczano każdodziennie fiedrunek z tego pokładu. Pod pochylnią znaleźliśmy około 20 wózków, zbitych w jeden wielki stos, między któremi sterczały dwa zabite konie i kilka trupów ludzkich, bez nóg i rąk, bezkształtne masy ciała ludzkiego. Z pochylni wydobywał się czarny dym, uniemożliwiając nam oddech, co nas upomniało w przekonaniu, że w kopcu w tym dymie nikt żyć nie może. Wszystkie przemurowania i podziałki prądu powietrza zostały wybuchem zdemolowane, kto więc nie zginął od samego wybuchu, mu-

siał się udusić z powodu braku dopływu powietrza.

Dym gwałtownie z pochylni buchający prze-
raział nas ogromnie, zwłaszcza, gdy obecny nad-
sztygar Lange wykrztusił: „Uciekajmy, bo tam
w końcu musi się palić!“ Było nas 15, lecz
po tych słowach żaden nie chciał być ostatnim
w ucieczce. W największym pośpiechu poczę-
liśmy wracać do szybu z powrotem.

Za jakie 20 minut, dobiwszy pod szyb, prze-
łaząc po brzuchu przez największe zawalenie
niedaleko dał się słyszeć silny głos: „Jak naj-
prędzej wszystko na wierzch, taki przyszedł
rozkaz!“ Nie wiedzieliśmy, co to ma znaczyć.
Nastał popłoch nie do opisania, gdyż wszyscy
naraz chcieli wleźć do klatki i być jak najprę-
dziej na wierzchu. Szczęśliwie wydobyto nas
na powierzchnię około pół do siódmej rano.
Urzednicy, stojąc gromadnie, gwarzyli po nie-
miecku, czego i tak nikt rozumieć nie był
w stanie, gdyż płacz i szlochanie kobiet i dzie-
ci otaczających szyb wszystko głużył i tłumił.
Żandarmerja usuwała publiczność od szy-
bu, myśmy zaś usiedli zmęczeni w lokalu ma-
szyny fiedrunkowej i zamierzaliśmy się nieco
posilić, dostarczoną nam czarną kawę. Na-
gle daje się słyszeć ogromny huk, ziemia się
zatrzęsła, a ze szybu, z któregośmy dopiero
wyjechali, buchnął dym z ogniem. Krzyk, roz-
pacz straszliwa ogarnęła wszystkich. Każdy
szukał okna lub drzwi, aby uciekać jak naj-
dalej od szybu. Kilka kobiet zostało wybuchem
rzuconych na ziemię, wzmógł się krzyk dzieci,
powstała wokoło prawdziwa panika. Była to
trzecia z rzędu eksplozja a według wyrządzo-

nej szkody na powierzchni, uważana za najsilniejszą. Siła wybuchu zniszczyła całą maszynę na szybach wiatrowych Henrychy i Fiedrunku. Na szybie Jana ogromne drzwi wchodowe zostały wyrwane i wyrzucone kilka metrów w pole, schody żelazne przymocowane do tak zw. wierzchniego bonu, urwane i zmiażdżone. Stojąca na podstawach klatka szybowa siłą wybuchu wyrzucona została jak kawałek papieru kilka metrów w górę. Urzędnicy teraz stracili głowę, poznano bowiem, że w kopalni pali się węgiel, czyli, że jest to pożar kopalniany, który nie da się niczem innem stłumić, jak tylko przez zupełne wstrzymanie dopływu powietrza do kopalni. Teraz przypominano sobie hałdy suchego pyłu węglowego w 19-tym pokładzie, wyrabowane próżne pola, napełnione gazami palnymi. Pierwszy wybuch usunął wszystkie tamy i przeszkody w kopalni, dlatego ponowny wybuch nagromadzonych gazów był tem gwałtowniejszy.

Bergrat Grey pędzi ze strony swego zamku a trzymając ręce na głowie, krzyczy: „Rany boskie, pożar w kopalni, zakryć natychmiast kopalnię!“ Rozkaz, który poniekąd okazał się koniecznością, zaraz wykonano. W mgnieniu oka dowieziono z niedaleko znajdującej się piły parowej grube deski i zaczęto nakrywać szyb, uzupełniając nakrycie grubą warstwą ziemi, by jakikolwiek dostęp powietrza zatamować. **Zamknięto szczelnie szyb, zamykając w ogniu przeszło 300 górników.** Odpowiedź dawały niemiłknące łkania i płacz przed szybem stojących żon i dzieci, złorzeczac mordercom ich żywicieli. Panowie usprawiedliwiali zamknięcie szy-

bów koniecznością zatamowania powietrza, ugaszenia pożaru, pocieszając pozostałych, że po tych eksplozjach, których było kilka po sobie, nie może żaden żywy w kopalni się ostać. Zamknięto szyby Jan i Karol, Franciszka i Głęboki, mające łączność podziemną ze sobą. Że nieszczęśliwi górnicy, skutkiem wybuchu, nie wszyscy zostali na miejscu uśmierceni, wykazały później znalezione trupy w różnych pozycjach, dowodzące najlepiej, że pewna część była spalona, a inni z chustkami lub innym przedmiotem w ręku ratowali się, robiąc tym sposobem **sztuczne powietrze**, ale pozbawieni światła, nie mogli się ocalić. Pozostaje na zawsze nierozwiązaną zagadką, czy w chwili szczelnego zamknięcia szybów nie znajdował się już nikt żywy z górników w kopalni.

Po zupełnem zamknięciu szybów Jana i Karola, Franciszki i Głębokiego, jako też przynależnych do tego pola szybów wiatrowych i po pogrzebaniu trzech górników, których znaleziono pod szybem zabitych, na kopalniach zapanała cisza grobowa. Pomimo wstrzymania dopływu powietrza do kopalni wskutek zakrycia szybów, następowało jeszcze kilka po sobie powtarzających się eksplozji wybuchowych o słabszej detonacji, dosłyszanej jednakowoż na wierzchu. Na każdym zamkniętym szybie zmontowano przyrządy do mierzenia siły wybuchowej i rozmiarów pożaru. Wyniki badań zapisywano co kwadrans, później co pół godziny, do czego na każdym szybie przeznaczono zaufanego górnika. Górników kilka setek pozostałych teraz bez zarobku, rozesłano na sąsiednie kopalnie w zagłębiu, a pewna część,

przerażona katastrofą, uciekła, aby więcej na kopalnię nie wracać.

W kopalni tymczasem 330 mężczyzn w sile wieku spoczęło w szalejącym ogniu 300 m głębokiego szybu. Zjeżdżały się komisje górniczo-rządowe, nie tyle dla badania przyczyn straszliwej katastrofy, lecz aby radzić nad sposobem dostania się do kopalni i ugaszenia żywiołowego pożaru. Po każdej komisji i jej obradach krążyły pomiędzy górnikami różne dociekania. Jedni mówili, że kopalnię zostaną zalane wodą, inni znów, że dostęp kopalni na kilka lat zostanie zamknięty, aby tym sposobem spowodować ugaszenie pożaru. Następnie około każdego szybu ustawiono straż szybową, złożoną z kilku starszych górników, którzy mieli pilnować dostępu obcym do szybu.

Los załogi szybowej.

Tragedja katastrofy nie ograniczyła się tylko do ofiar pozostałych w kopalni, lecz dotknęła całej załogi szybowej. Skutkiem zamknięcia szybów pozbawionych zostało setki górników pracy i zarobku. Po upływie około sześć tygodni po katastrofie wyszedł rozkaz od nadeszłych całkiem obcych urzędników kopalnianych (gdyż urzędnicy kopalni z wyjątkiem kilku sztygarów i jednego inżyniera razem z bergratem Greyem po katastrofie z kopalni się usunęli), aby z szybu Głębokiego, jako pola najbardziej oddalonego od miejsca katastrofy, jak również w poziomie najgłębszym rozpocząć pracę i śledztwo tak za ogniem, jak również za rozmiarem objętych przez pożar pól węglowych.

Katastrofa przeraziła wszystkich górników do tego stopnia, że ciężko było znaleźć odważnego ochotnika, który zgodziłby się pierwszy zjechać do kopalni (szyb Głęboki aż do tej chwili również był szczelnie zamknięty). Długo namyślaliśmy się, stawiając sobie przed oczyma prawdziwy obraz pożaru w pokładzie 19-tym, zanim zgodziliśmy się zaryzykować swe życie i spuścić się w głębiny gorejącego piekła. Brak zarobku dodawał nam odwagi. Kilku najśmielszych w towarzystwie dozorców przecież zgodziło się pojechać w dół.

Rozpoczęliśmy pracę, torując sobie zaraz od szybu głównym przekopem ku starej pochylni prowadzącej połączenie wiatrowe na główny „Querschlag“ pod szyb wiatrowy szybu Franciszki. Główny ten przechód łączył także pole 19-tego pokładu, objętego pożarem.

Praca to była okropna, nie dająca się nawet opisać. Rozdzieloną szychtę na cztery zmiany po 6 godzin każdy z nas w największym strachu i pocie czoła w kopalni przeżywał. Każdy najmniejszy szelest spadających kamieni lub pękanie drzewa, przestraszał nas tak, że uciekaliśmy aż pod szyb.

Po kilku dniach żmudnej pracy dotarliśmy na wspomniany główny „Querschlag“, jakie 500—600 m nad pochylnią, prowadzącą od samego szybu Głębokiego. Zaznaczyć tu wypada, że pracę tę zaraz od szybu wykonywaliśmy w aparatach, w które ubierali się trzej górnicy i zapomocą sztucznie tłoczonego przez węże powietrza, wprowadzanego aż do maski, posuwaliśmy się do otwartego pola naprzód. Co kilkanaście metrów budowaliśmy przejścia

naprzód, zamykając szczelnie całą szerokość oczyszczonego chodnika, spowodowaliśmy tym sposobem zamknięcie dopływu **zdrowego** powietrza do katastrofalnego pola pożaru. W ten sposób etapami posuwaliśmy się coraz bliżej miejsca pożaru.

Gdy doszliśmy w ten sposób na główny chodnik, który krzyżował się w stronę szybu wiatrowego, zamknęliśmy murem 30 cm przechód w stronę szybu Franciszki. Panowie fachowcy, kierujący całą akcją i pracą w kopalni, skonstatowali, że przez wykończenie powyższej tamy został pożar zlokalizowany. Dla oszczędności kosztów dalszej pracy uznali za stosowne puścić w ruch maszynę wiatrową (wentylator) szybu Głębokiego.

Co postanowili, to też wykonali. Za kilka godzin po puszczeniu w ruch wentylatora powstała nowa straszna detonacja, szczęśliwym trafem w innym poziomie. Byliśmy o jedno piętro wyżej w maskach, w zamiarze zamurowania w szybie starego otworu w tak zwanym trzecim horyzoncie.

Pomimo szelestu, jaki nam sprawiało powietrze, sztucznie wciskane do aparatu, odczuliśmy straszny łoskot i zachwianie się podstaw ziemi. Klatka szybowa, na której znajdowaliśmy się, wykonując przekazaną pracę, gwałtownie wyrzucona została w górę i **znów** opadła. Objęci wszyscy trzej rękami, drżąc na całym ciele, czekaliśmy co dalej z nami będzie. Po kilku minutach daliśmy znak do wyjazdu. Wyjechawszy na wierzch, zobaczyliśmy tłum ciekawej i szlochającej publiczności, docierającej się do szybu, aby się przekonać, czy jeste-

my żywi, gdyż z szybu wiatrowego buchał pełną gardzielią czarny dym wraz z płomieniami ognia. Byliśmy ocaleni. Nasze ocalenie przypisywano temu, że siła większa wybuchnęła do otwartego szybu Głębokiego i w jego stronę. gdzie na szczęście w tym dniu aż do zamurowania przez nas wspomnianego starego otworu, w pracy na dole nikogo nie było.

Konsyljum fachowców.

Po tym wybuchu uznano, że pożar jest daleko bardziej rozszerzony, aniżeli początkowo przypuszczano. Ponownie zamknięto dopływ powietrza do szybów. Wszystkie roboty w tych 4 kopalniach, czyszczenie przejść, przeprowadzano wyłącznie w maskach, bez używania pomocy maszyn wiatrowych.

Trwoga nad dalszą sytuacją.

Ponowny zjazd obcych urzędników i fachowców górnictwa, narady i komentarze wytworzyły w opinii publicznej trwogę o dalszy los pożarem ogarniętych kopalń. Zrozumiano, że pożar nie ograniczył się do odpadków węglowych, nagromadzonych w pokładzie wyraławianych pól, lecz ogarnąć musiał węgiel nie naruszonych, lecz drobno poćwiartkowanych filarów.

Za kilka dni wydano polecenie rozpoczęcia ponownej pracy w szybie Głębokim, lecz nikt nie chciał wdziwać na siebie aparatu i iechać do kopalni. Nie pomagały przyrzeczenia 2 K oprócz należytej zapłaty normalnej na zmianę, jako dodatkowe wynagrodzenie, każdy drżał ze strachu w obawie o własne życie,

nawet gotowość wyższenia płacy nie wywarła pożądanego skutku. Staliśmy w otoczeniu urzędników przed zamkniętym szybem Głębokim a gdzie wszystko przygotowano, aby wjechać do szybu. Nakrycie szybu składało się z podwójnych drubych desek, zrobionych drzwi na rozsuwanie, każda połowa składała się z dwóch części, sporządzonych tak, aby otwór dla puszczenia klatki szybowej jak najprędzej znów było można zamknąć. Klatka (Schata) już przygotowana do wjazdu, uzbrojona była w przyrządy telefoniczne i bezpieczeństwa. Na ścianie klatki zawieszono tabliczkę z przepisem, jak należy zachować się górnikom, którzy wjadą do kopalni, zarazem zarządzono oświetlenie elektryczne zapomocą lamp. Ustanowiono na końcu czterech starszych górników, którzy na wymianę po dwóch wykonywać mieli obowiązki straży bezpieczeństwa, szczególnie pozostawać w stałym kontakcie z trzema górnikami, wpuszczonymi do kopalni. Widząc zarządzenia jak najbezwzględniejszego bezpieczeństwa, wystąpiłem z oświadczeniem, że decyduję się iść w głąb kopalni razem z dozorcą K., wyznaczonym przez zarząd kopalni. Drugi zgłosił się na ochotnika murarz S. Było nas trzech przygotowanych ubierać się do maskowego aparatu. Wyznaczeni dwaj rzemieślnicy zaczęli nas ubierać, kładąc nam przez głowy z nieprzemakalnej materji sporządzoną maskę z rękawami, okrywającą nas do pasa, gdzie ściągniętą została silnie rzemieniami. Górna część maski, sztywna na wzór głowy, okrywała głowę z przodu do twarzy, posiadając szklane, okrągłe okienko do otwierania.

Minęło jakie pół godziny czasu, zanim zdołano nas ubrać w aparaty, w myśl podanej przez specjalnego technika instrukcji. Już jesteśmy przygotowani, aby wstąpić do klatki, aż tu naraż obok stojący murarz S. otwiera okienko aparatu i krzyczy: „Zrzuć ze mnie aparat, nie pojedę do szybu, mam jeszcze czworo małych dzieci w domu!“ Nic nie pomagały namowy urzędników i zachęcania z otoczenia. Musiano go zwolnić i szukać pomiędzy otoczeniem innego ochotnika. Po dłuższej rozwadze zgłosił się R., również murarz kopalniany, którego prędko ubrano w maskę i nareszcie stanęliśmy w klatce nad szybem. Pomaleńku, żegnanych jeszcze przez pozostałych na wierzchu, zaczęto nas wpuszczać w głąb kopalni. Z chwilą opuszczenia klatki zasunięto prędko za nami drzwi szybowe, zalepiając szczelnie każdą szparę do szybu.

Zjechawszy na dół, zaraz przekonaliśmy się jakie spustoszenie spowodowała przed kilku dniami ponowna eksplozja. Świadczyły o tem zaraz zwały podszybowe. Jęliśmy się pracy we dwójkę, zaś dozorca nasz pilnie przestrzegał przepisów bezpieczeństwa, sygnalizując raz po raz na powierzchnię szczegóły pracy.

Po kilku dniach pracy, prowadzonej z półgodzinnymi a później jednogodzinnymi zmianami, dotarliśmy do miejsc zamurowanych, sporządzonych przed kilkoma tygodniami przed ostatnim wybuchem. Tam mogliśmy skonstatować siłę detonacji, gdyż z naszego muru ani jedna cegła nie leżała na drugiej, wszystko było wymiecione. Zmuszeni byliśmy ponownie zamurować wszystkie otwory, naturalnie za-

brało to więcej czasu, gdyż tylko trzech mogliśmy pracować, a to: jeden murował lub budował, zależnie od potrzeby, drugi mu przyświecał, trzeci donosił materiał. Zaznaczyć muszę, że powietrze nas otaczające napełnione było taką masą gazów, że niemożliwem było nawet na sekundę otworzyć szklanne drzwiczki od aparatu w celu przemówienia. Przy pracy zmuszeni byliśmy porozumiewać się zapomocą migawek. Szelest prawie koło uszu cisnącego się zdrowego powietrza dwoma kanałikami do aparatu, uniemożliwiał jakikolwiek słuch.

W ten sposób postępowała praca, że w aparatach przeszliśmy 50—100 metrów głównym chodnikiem, zamykając mniejsze boczne chodniki za sobą cienkim murem. Do tych wskazanych metrów sięgały też węże, prowadzące powietrze do aparatu. Tam znów zrobiliśmy (w aparatach) poprzeczny podwójny mur 3—4 m oddalony od siebie. Do każdego poprzecznego muru (ściany) wprowadzone zostały drzwi, mające w środku szklanne okienko. Kiedy to było gotowe, posunięto całą pracę o tyle metrów naprzód. Miniętą tak zw. szleisę zdemolowano i znów dalej robiono nową i t. d. postępowano do osiągnięcia ponownych 50 lub 100 m, zależnie od sposobu zrobienia nowego odgraniczenia, czyli szleisy. Bardzo praktycznie zbudowany został przyrząd do prowadzenia zdrowego powietrza do aparatów maskowych: przewodami rurowemi z wierzchu od maszyny kompresowej aż do miejsca prowadzenia pracy. Kilka metrów przedmurowano poprzeczną ścianę chodnika, położono trzy d e-

wniane wyżłobione koła osadzone na podstawach w ten sposób, aby łatwo można nimi obracać.

Na koła natoczono gumowe węże, nie przepuszczające powietrza, które następnie połączono z przewodem powietrza z powierzchni. Drugi koniec węży przymocowano do tułowia aparatu i w ten sposób do aparatu stale dopływało powietrze. Z chwilą, gdy zostaliśmy już uzbrojeni w aparaty, otwarły się pierwsze drzwi szleisy i stanęliśmy pomiędzy murami, zamykając za sobą pierwsze drzwi, które starannie obmazywano ślinem, aby uniemożliwić najmniej-szy dostęp powietrza za nami. Każde drzwi posiadały na samym spodzie wyrznięty otwór na pomieszczenie węża, który każdy sam dla siebie ciągnął jako jedyną arterję swego życia. Z chwilą, gdy już pierwsze drzwi szleisy zostały szczelnie zamknięte, dano nam znak lampką przez szklane okienko, że możemy iść dalej, poczem otwarliśmy drugie drzwi i wstąpili do dalszej pracy. Przed szleisą, przy kołach z natoczonymi węzami, siedział zawsze dozorca, zobowiązany pilnie strzec nasze ruchy za szleisą. Gdy już oddaliliśmy się zbyt daleko lub chodnik miał skrzywienia, zmuszeni byliśmy co 5 minut przychodzić jeden aż do drzwi okienka i dawać znak lampą, że praca idzie w porządku. Na wypadek grożącego niebezpieczeństwa lub natrafienia na ciała ludzkiej przychodziliśmy do szleisy, zamykając za sobą drzwi.

Pierwsze zwłoki zabitych dwóch kolegów znaleźliśmy jakie 20 m od głównego chodnika, prowadzącego do szybu Głębokiego, w poło-

zeniu siedzącym, opartych o ścianę węgla, w tak zw. chodniku wiatrowym. Z pozycji tych nieszczęśliwych było można wywnioskować, że zostali uduszeni bądź zaraz po eksplozji, lub później z braku powietrza, kiedy szyby zamknięto. Natrafienie na pierwsze ofiary straszego nieszczęścia wywarło na nas niesamowite wrażenie; stanął przed nami ten straszliwy obraz walki żywotów ludzkich z żywiołem, jaki miał miejsce w dniu wybuchu i zapalenia się węgla w kopalni. Przejęci do głębi uczuciami do nieszczęśliwych ofiar, przygotowaliśmy nasze nerwy do następnych tego rodzaju niemiłych spotkań.

W piekielnej otchłani.

Kiedyśmy doszli do tak zwanego głównego chodnika (Querszlaku) jako łącznikowej arterji 19-go pokładu, na głównym wekslu leżały hałdy zwęglonych i straszliwie zezarpanych ciał ludzkich, pokryte zwałami kamieni i drzewa. Kilka zmian pracy minęło, zanim zdołaliśmy usunąć przeszkody i przystąpić do wydobywania już prawie w rozkładzie znajdujących się ciał ludzkich. Kilkutygodniowe powodzenie w naszej pracy dodało otuchy także innym górnikom, którzy zgłaszali się na ochotników do pracy w głębinach kopalni. W międzyczasie zdołano zorganizować kilka oddziałów złuzowania, oraz załóg wymiennych. Podobnej prace podjęto też ze strony pola wschodniego od szybu Jana i Karola. Prawie mijał rok po katastrofie, gdy zaczęto wydobywać zwłoki zabitych górników. Rzadko niestety natrafiono na

całe ciało człowieka, znaleźliśmy przeważnie tylko części ciała.

Wydobywanie trupów zarządzono w ten sposób, że ciało przynieśliśmy do szleisy, gdzie były przygotowane trumny, które następnie zabito gwoździami i odesłano do trupiarni na cmentarz karwiński, z której odbywał się pogrzeb.

Z chwilą zamknięcia szybów po katastrofie ustało także wszelkie pompowanie wody z kopalni. W następstwie tego niżej położone pola ze strony szybu Jana i Karola zostały zatopione, woda wystąpiła aż do wysokości szóstego poziomu, w którym znajdował się nieszczęśliwy 19 pokład. Polegli górnicy, którzy pracowali w poziomie 6, 19 pokładu zostali zatopieni a zarazem wszystkie konie w dzień katastrofy, spoczywające w stajni, jako też przy zaprzęży wozów.

Wydobywanie ciał nastąpiło w rok po katastrofie i trwało przeszło dwa lata, tak, że znalezione ciała były w zupełnym rozkładzie. Przy tej pracy dostarczono nam gumowych rękawic, które miał każdy nosić. Jeżeli widok zeszpeconych i spalonych ciał ludzkich, znalezionych w miejscach suchych, przerażał, co do piero mówić o znalezionych w zatopionych miejscach. Straszliwie śmierdzącą wonią nacuchnęliśmy tak, że na wierzchu nikt nas rozbierać z aparatów nie chciał.

Jakie męczarnie musieli ci biedacy górnicy znieść, świadczyły najlepiej te straszne zeszarpiane i zwęglone trupy. Jeszcze gorzej musiało dziać się z tymi, których znaleźliśmy w pozycjach ratunkowych. Naprzykład w jednym czo-

le znaleźliśmy koło 20 razem, jednych siedzących, drugich leżących w zdartych i zarzuconych na głowę koszulach, inni trzymali się w objęciach. Było widać, że nie zostali zabici skutkiem eksplozji a zginęli od uduszenia.

Koło trzech lat trwała tego rodzaju praca dająca materiał o rozmiarach i skutkach katastrofy. Przeszukano skrupulatnie główne chodniki i sztolnie, by ciała nieszczęśliwych górników odnaleźć.

Pomimo największych wysiłków i ofiarności pracy nie można było dotrzeć do wszystkich miejsc, gdzie górnicy przed katastrofą pracowali. Pewne miejsca, tak zwane rabunki, siłą eksplozji lub z powodu zbutwienia drzewa, zostały w taki sposób zwalone, że stały się niedostępnymi dla człowieka. Strop nad 19 pokładem był bardzo słaby, to też zawały sięgały w niektórych miejscach kilkadziesiąt metrów w górę. Nikt nie jest w stanie podać dokładnej liczby, ilu z robotników zdołano wydobyć na wierzch i pogrzebać a ilu zostało pogrzebanych w kopalni.

W miarę postępowania prac oczyszczających w kopalniach przybywało coraz więcej ochotników do pracy w aparatach, tak, że w trzecim roku po katastrofie, gdy wydobywanie trupów było już na ukończeniu, załogi zmienne liczyły już po 200 górników. W końcu przyszła kolej na oczyszczenie stajni, w których leżało uduszonych przeszło 30 koni. Otrzymaliśmy rozkaz udać się do V i VI poziomu dla oczyszczenia stajni z padliny końskiej. Każdy otrzymał nowe kauczukowe rękawice i topór osadzony na dłuższym „helmisku“, zapomocą którego

kazano nam padlinę końską rąbać w kawałki i pakować do specjalnych krytych wozów do tego celu sporządzonych. Dochodząc przed drzwi stajni i zobaczywszy ten niezwykły obraz, w różnych pozycjach leżące konie, nie mogliśmy narazie opanować nerwów, aby wykonać przekazaną pracę. Za kilka tygodni zostały i stajnie oczyszczone, padlina wydobyta na wierzch i pogrzebana w głębokim rowie koło hałdy odpadków szybu Jana i Karola.

Uczuciowe objawy dr. Larischa.

Opis fragmentów katastrofy nie byłby zupełny, gdybym omieszkiał podnieść, z jakimi uczuciami odnosił się do ofiar katastrofy przedsiębiorca bogobojny dr. Larisch. Karwińskiem probostwem zarządzali wówczas Jezuici, sprowadzeni do Karwinej na skutek zabiegów dr. Larischa. Jezuici byli też najwierniejszymi doradcami, w takim wypadku gdy chodziło o wyraz uczuciowy w obrazie bigoteryjnym dla nieszczęśnych następstw katastrofy. Dla zagłuszenia wyrzutów sumienia Larischa i zagłuszenia płaczu wdów i setek sierót, polecono Larischowi wybudować skromną kaplicę, na polu łoło drogi w pobliżu dworu Henryka.

W miejscu, gdzie wystawiono kaplicę 240 metrów pod ziemią znajduje się prawie środek nieszczęśliwego pola górniczej katastrofy dnia 14 czerwca 1894. Na tem miejscu spoczywa do dziś dnia kilkadziesiąt ofiar katastrofy.

Skutkiem katastrofy (której przyczyna nie została ujawniona) postradało życie setki zdrowych w sile górników, ojców rodzin, pozosta-

wiając setki sierót i wdów. Kaplica ma być dowodem uczucia i łaski dla nieszczęśliwych.

Dla górników, szczególnie postępowych, kaplica jest świadkiem zbrodni, popełnionej na bezrobotnym robotniku, przez nieubłagany i nie nasycony wyzysk przedsiębiorców. Jest to zarazem widoczny znak wołających o pomstę za krzywdy, która nastąpi wtenczas, kiedy górnicy uzbrojeni w silną organizację, zmienią dzisiejszy morderczy porządek w górnictwie, który przedsiębiorcy przynosi krocie zyski a nie zna litości a krzywd wdów i sierót.

Końcowe uwagi.

Fragment katastrofy górniczej, zobrazowany w niniejszem prawdziwem streszczeniu, stanowi tylko ogniwo tego zbrodniczego łańcucha, którem opasane są kopalnie węgla.

Nastręcza się pytanie, o przyczyny wyjątkowego zainteresowania się prawie tą katastrofą z 14 czerwca 1894 r. z pominięciem dziesiątek podobnych nieszczęść na innych kopalniach. Wyjątkowo charakteryzuje tę katastrofę znaczenie historyczne, określające lekko-myślność wobec życia robotnika. Istnieje przynajmniej zwyczaj, że po nieszczęściu szuka się następnie przyczyn i winowajców tego złego. W tym wypadku stwierdzenie przyczyn pośrednich i znalezienia winnego katastrofy, w której prawie cała załoga pokładu zginęła — stało się prawie niemożliwem. Różne osądzenia i przypuszczenia nie mogły być uznane za wiarygodne, tembardziej, że katastrofa nie ograniczyła się do jednego katastrofalnego wybuchu, który powtórzył się co najmniej siedmiokrotnie.

A jednak przyczyna tego strasznego nieszczęścia była i jest do dziś dnia widoczną. Znajduje ona wyraz w zachowaniu się właściciela kopalni, w stosunkach prawnych zobowiązań, wobec widma niebezpieczeństwa widocznego każdodziennie. Bez najmniejszych skrupułów i zastanowienia się nad następstwami, rabunkowa eksplozja grubego na 4 metry pokładu, przepelnionego najwyższym procentem palnych gazów nakazywała zachowanie największej ostrożności. Tajemnicą pozostaje na zawsze, w czym leży przyczyna katastrofy, czy zapalenie gazów nastąpiło od strzału, lub lampy. Bezpośrednią przyczynę tej katastrofy przypisać należy tej okoliczności, że nie dopatrzono ostrożności nawet w najprymitywniejszych zarządzeniach.

Następstwa po katastrofie również stanowią wyróżniające okoliczności. Przeszło 4 lata po katastrofie musiano zupełnie zamknąć nie tylko szyb Jan Karol wraz z pokładem 19 i produkcję zastawić, lecz odbiło się to na reżucie szybów Larischa. Przeszło trzy tysiące górników zostało pozbawionych pracy i zarobku, zmuszonych bądź szukać pracy na sąsiednich kopalniach lub zupełnie pożegnać górnictwo. Kopalnie, objęte katastrofą, wczoraj jeszcze w szalonym tempie produkcji, zamienione zostały na smętne grobowce, odwiedzane codziennie przez płaczące wdowy i sieroty. Koło kopalni zamiast kręcących się urzędników, naganiaczy do pośpiechu w pracy produkcji, widać tylko jakiegoś starszego górnika, któremu powierzono obecnie dozór nad szczelnie zamkniętą kopalnią. Kolonje górnicze przedstawiały pustkowia. Mężczyźni albo spoczywali w głębi

szybu a inni zmuszeni wędrować za pracą tygodniami całami, nie wracali do rodziny. Trudno opisywać te przeżycia górników po katastrofie, do czasu, gdy po 4 latach w pojedynkę powracali znów na swoje stare miejsca, aby oglądać już na własne oczy następstwa strasznej katastrofy.

Katastrofa na szybie Jan Karol w dniu 14 czerwca powinna być wcielona w historję walki w obliczu śmierci.

Koniec.

**ZBIORY
S. ZAHRADNIKA**



THE
LIBRARY OF THE
MUSEUM OF NATURAL HISTORY
AND
ZOOLOGY
OF THE
CITY OF LONDON

Dec. '02

Książnica Cieszyńska

KD I 1788
